

665

# Mamy dobry i różnorodny teatr

Rozmawiamy dziś z jedną z najwybitniejszych polskich aktorek — RYSZARDĄ HANIN. Na jej ręce składamy też z okazji MIĘDZYNARODOWEGO DNIA TEATRU najlepsze życzenia dla wszystkich kobiet, związanych z teatralną sceną.



● Zaczniemy od sprawy najbardziej zasadniczej z zasadniczych — aktorstwo to zawód czy powołanie?

— Powołanie, to może powiedziane za dużo. Chyba raczej dyspozycje wsparte solidnym rzemiosłem, umiejętnością wydobywania z siebie czegoś nowego, nowych pokładów wrażliwości, wyobraźni.

● Czy można się tego nauczyć? Pytanie jest chyba skierowane do właściwego adresata, jest Pani bowiem od lat wykładowczynią w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie.

— Cóż, szkoła teatralna, poza treningiem technicznym, dykcją, sprawnością ciała, powinna uczyć umiejętności odnalezienia metody pracy nad sobą, nad swoim dalszym rozwojem.

● Słyszysz się jednak często narzekania młodych aktorów...

— Że mają złą dykcję...

● Nie tylko. Przede wszystkim, że przestają się rozwijać, rozchwytywani przez telewizję i film nie mają po prostu na to czasu.

— To istotnie jest problem. Na absolwentów szkoły odbywa się prawdziwe polowanie masowych środków przekazu. Angażuje się ich do ról najczęściej bez znajomości ich rzeczywistych predyspozycji aktorskich, na ślepo. Bywają potem przykre rozczarowania po kilku latach pozornej popularności. Okres ochronny mija, aktor opatruje się już publiczności, przestaje interesować reżyserów. Tylko najodporniejsi psychicznie ostają się po takiej próbie. To oczywiście dotyczy głównie dużych ośrodków, szczególnie zaś Warszawy. Takie przypadki skrajne nie powinny jednak przesłaniać starej prawdy, że nie ma dla młodego aktora lepszej szkoły jak właśnie częste granie. To jest to samo, co ćwiczenia palców dla pianisty.

● Talent pianistyczny ujawnia się i krystalizuje bardzo wcześnie. A jak jest z aktorami?

— Bardzo różnie. Rozwój osobowości aktorskiej może nastąpić dopiero w dojrzałym, a nawet podeszłym wieku. Znamy przecież takie przypadki. Aktor bowiem nie decyduje najczęściej o swoim rozwoju. Rzadko gra na danym etapie życia te role, które powinien. Żeby na nie trafić, trzeba sporego zbiegu okoliczności, teatru, który akurat ma daną sztukę w repertuarze, reżysera, który tego aktora wybierze...

● Czy i Pani zdarzało się tak „nie trafić”?

— Oczywiście, na różnych etapach mojego życia i mojej aktorskiej kariery uciekla mi, i to przecież z niczyjej winy, masa ról.

● Ma Pani za te opinie aktorki, która potrafi stworzyć znaczącą rolę z każdego materiału dramaturgicznego...

— Jest to chyba rezultat tego, że od początków mojej aktorskiej działalności były kłopoty z

obsadzeniem mnie, np. w rolach klasycznych amantek. A, że moja młodość aktorska przypadła na okres sztuk socrealistycznych, grałam wiele ról, które szeleściły papierem. Była to trudna szkoła grania, ale i ona mi się przydała. Rzecz bowiem w tym, że o wiele trudniej zmagać się ze złym materiałem literackim, niż z dobrym. O wiele trudniej z papierowej postaci stworzyć człowieka, niż wyciskać ludziom łzy jako Dama Kameliowa.

● Z wielu Pani ról przypominam sobie teraz jedną z tych epizodycznych, w dodatku niema, a przecież zostająca w pamięci — rolę matki w niedawno granym filmie „Ciemna rzeka”.

— Zagrałam tę rolę na zasadzie uprzejmości wobec reżysera, zdając sobie sprawę, że matka nie spełnia tam żadnej funkcji dramaturgicznej, a tylko po prostu jest, krząta się w tle, dogląda gospodarstwa. Próbowałam ją jakoś wzbogacić, pokazać jej zaleźnienie, zahukanie w świecie, w którym pełno jest męskich, brutalnych często spraw. Dlatego wydawało mi się, że powinna ona po prostu milczeć, milcząco spełniać swoje obowiązki. Koledzy śmiali się najpierw, że zaproponowałam to, bo nie chce mi się potem nagrywać tzw. postsynchronów czyli dźwięku.

● Jaki rodzaj ról jest Pani najbliższy mniej więcej wiemy. A jaki rodzaj literatury dramatycznej cenil Pani najbardziej?

— Dramat psychologiczny, taki który daje pewną sumę wiedzy o człowieku. Nie musi to być zresztą dramat tradycyjny, ale np. także Beckett, którego „Radosne dni” nagrałam niedawno dla telewizji. W zasadzie jednak nie unikam żadnych ról, gram przecież także w komediach, a nawet w farsach. Nie twierdzę, że chciałabym to robić przez całe życie, ale komediowe doświadczenie także wzbogaca warsztat aktora. W moim macierzystym Teatrze Dramatycznym można mnie np. obecnie zobaczyć w „Czarnej komedii”, „Na czworakach” Różewicza czy w „Ślubie” Gombrowicza. Jestem więc ciekawa każdej propozycji, co jednak nie znaczy, że każdą przyjmuję. Niestety, bardzo niewiele jest we współczesnym polskim filmie i teatrze prawdziwych ról, które mogłabym i chciałabym zagrać...

● A z tych już zagranych może wspomina Pani którąś ze szczególnym sentymentem...

— Chyba rolę Maszy w „Czajce” Czechowa, którą grałam jeszcze w Teatrze Polskim. Pamiętam ją dlatego, że stworzyłam tę rolę w oparciu o pewien pomysł, który nie został potem odczytany przez krytykę. Pokazałam Maszę, nieszczęśliwie zakochaną i pełną pretensji do życia, jako dziewczynę, rozczytaną w Dostojewskim, która sama siebie wystylizowała na literacką modłę. Zarzucono mi jednak wtedy, że to nie był Czechow, że taka Masza była za mało liryczna, za „ostra”.

● Rozmawiamy cały czas o teatrze, oglądanym jednak od strony sceny. Czy również jako widz śledzi Pani nasze życie teatralne?

— W każdym razie staram się śledzić.

● I jaka byłaby diagnoza jego stanu?

— Uważam, a nie jest to tylko moja własna opinia, że mamy bardzo dobry i różnorodny teatr. Wielu naszych kolegów zza granicy mówi nam to z szacunkiem i podziwem. Do naszej szkoły przyjeżdżają np. grupy z całego świata, by czerpać z naszych wzorów.

● A jednak słyszy się ciągle o kryzysie teatru, o jego zagrożeniu przez telewizję...

— Myślę, że te pesymistyczne prognozy nie sprawdzą się. Obserwujemy teraz wyraźny przypływ publiczności do teatru i to właśnie chyba dzięki telewizji, która stała się swoistym elementarzem teatru dla większości ludzi.

Rozmawiał

Jerzy Żurek